

II/2749

TADEUSZ HABCZYŃSKI

**OD
DEPORTACJI
DO
REPATRIACJI**

Tadeusz Habczyński

PRELUDIUM NA STRACONEJ ZIEMI (1939 - 1945)

Początek maja zapowiadał się pięknie.

Nasze narodowe i kościelne zarazem święto Trzeciego Maja przeminęło jak zwykle w nastroju podniosłym, uroczystym i w pełnej gali. W defiladzie, poprzedzonej mszą w parku pod pomnikiem uświęcającym rok 1410 brałem również udział w szeregach hufca P.W., maszerując przy dźwiękach „Warszawianki” przed generałem Łukoskim, który był wtedy dowódcą 11 Karpackiej Dywizji Piechoty.

Nasz dom przy ulicy Legionów udekorowany był biało-czerwoną flagą, która powiewała pod okrągłym okienkiem, ponad attyką elewacji frontowej środkowego ryzalitu.

Piątego maja wysłuchaliśmy w skupieniu expose ministra Becka, w którym formalnie odrzucał roszczenia Hitlera wobec naszego kraju.

Przeminął maj i ja już miałem wakacje. Wnet wyjechałem do Lubizni. Te dwa miesiące spędziłem w górach, zdobyłem Howerlę, odkryłem przepiękne jezioro „Niesamowite”. Lato było piękne, moje wakacje też się kończyły i wszystko co piękne przemija szybko, pozostają tylko miłe wspomnienia. Nie myślałem, że to bezpowrotnie na zawsze skończone.

Miałem złe przeczucia, wyczuwało się napiętą atmosferę, podniecenie. Czarne chmury i złowieszczy powiew „MANE TEKEL FARES”; zacajone, groźne macki snuły się, wchodząc w zakamarki naszych domostw, naszego bytu.

Wróciłem do domu z moich letnich wakacji (niestety ostatnich) w pierwszych dniach sierpnia.

Mobilizację ogłoszono 24 sierpnia. Wskoczyłem w swój drelich P.W. i pogałem do koszar Szkoły Podchorążych. A tam jak w ulu wrzało. Pełno junaków, każdy aż rwie się do jakiejś służby.

„Pierwszego września o świcie wojska niemieckie zaatakowały obszar państwa polskiego” - głosi komunikat radiowy. A więc stało się to, czego nie uniknęliśmy. Wojna! Trwała sześć lat, ale dla mnie trwała o wiele dłużej. Wypadki potoczyły się błyskawicznie!

18 września do Stanisławowa wkroczyły wojska sowieckie. No, to już koniec pieśni pobożnej, pełne zaskoczenie. Przed swastyką wybawia nas wspaniałomyślnie sierp z młotem! Tylko się radować, - i pisk zachwytu ogarnął motłoch ludzki. Ostatni w historii numer polskiego dziennika „Wiek Nowy” ukazał się z datą 21 września 1939 r., a w nim na całą szerokość szpalty: „WALKA AŻ DO UWOLNIENIA POLSKI OD NAJAZDU”. Ta walka trwała całe lata i trwa nadal.

Mego ojca aresztowało NKWD czwartego listopada. W kwietniu, tuż przed Wielkanocą, wyrzucono nas z naszego domu, w którym założono „Dietskij sadok”. My z „czomodanem” w ręku uszliśmy na wieś do znajomego gazdy. Żyliśmy stale w trwodze i w napięciu oczekiwaliśmy najgorszego.

22 czerwca 1941 roku, niedziela. Piękny, słoneczny poranek zapowiadał upalny dzień. W głębokim parowie szumiał niewoczyński potok, obrosły gęstwiną łożyny. Zostałem nagle poruszony ogromnym drganiem powietrza. Na czystym bezchmurnym niebie zobaczyłem klucze samolotów. Były dość wysoko. Odgłosy detonacji i wybuchów dochodziły od strony północnej, a więc od Stanisławowa.

A więc wojna! Niemcy napadli na Sowietów!

Armia Czerwona pośpiesznie zaczęła się cofać, w panice uciekały rodziny sowieckich dygnitarzy, pozostawiając urzędy, posterunki, mieszkania i zrabowany uprzednio dobytek. Do Stanisławowa wkroczyli Honwedzi.

Kiedy utknęła na wschodzie ofensywa niemiecka, a inicjatywę przejęli Sowieci, front przesuwał się powoli ku nam. Zaczęły się nasilać naloty sowieckich Ilów. Pociski latały nam nad głowami. Pierwszy atak sowieckich czołgów, które dotarły do centrum miasta, został odparty. Następny przyszedł kilka tygodni później. Sowieci wkroczyli do miasta na dobre. Zaczęły się nowe porządki, nowe aresztowania, zgasły nagle nasze pełne optymizmu nadzieje. Pracowałem w „swiazi”. Mój nowy naczelnik, tow. Nieziajew, „wybroniował” mnie przed wcieleniem do wojska. Czy na szczęście, czy na nieszczęście - trudno to nawet dziś ocenić.

Konsekwencje Układu Jałtańskiego stanowiły jasno i niedwuznacznie o bankructwie hasel głoszonych przez naszych aliantów, a przede wszystkim przez Anglię i USA, co to były przecież zapisane w karcie atlantyckiej. Przed nami zrodził się poważny niepokój co do przyszłości naszej i naszych ojczystych stron, naszych Kresów. To wszystko śmierzdziało nam okropną zdradą zobowiązań ze strony sojusznika, w którego tak wierzyliśmy od samego początku.

Pozostał nam dylemat: pozostać tu, na ziemi naszych ojców, czy poddać się t. zw. „repatriacji”. O tym musieliśmy sami zdecydować. Trudno, los nie szczędził nam haniebnych decyzji ponad naszymi głowami.

Marcowa sobota nie wróżyła pogodnego dnia.

W mroczny poranek dziesiątego marca 1945 roku wyszedłem jak zwykle do pracy, z domu przy ulicy Legionów. I tak jakoś, jakby tknięty złym przeczuciem, na chwilę przystanąłem na rogu ulicy, obróciłem się i spojrzałem z oddali na białą elewację naszego domu. Nie mogłem przewidzieć, że to będzie moje ostatnie spojrzenie na mój rodzinny dom. A jednak nigdy więcej go nie zobaczyłem. Nigdy!

Około godziny dziesiątej zostałem wezwany do naczelnika Nieziajewa. W jego gabinecie stał jakiś wysoki major.

Poszedłem z majorem Sałatą (był Polakiem) do budynku NKWD, z którego po dwóch tygodniach wyprowadzili mnie do „stołypinki”, którą pojechałem aż do Komi ASSR

Moje Kresy opuściłem na zawsze!

W MROKACH KOMI (1945 - 1946)

Przestałem liczyć dni i noce, bo w swym przemijaniu stały się jednym ciągiem nieuchwytnego czasu, niewymierną, koszmarną szarością. Stukot kół, monotony i męczący, wdzierał się w skronie razem z bólem w stawach i kręgosłupie od niewygodnej pozycji na drewnianej półce pod sufitem, dwa centymetry nad obolałą głową. Słony i suchy śledź, płaski i twardy jak sklejka, palił spragnione podniebienie.

Wysadzono nas na jakiejś stacji w różowo-popielatym blasku zapadającego słońca. Przenikliwy chłód wdzierał się w zakamarki przepoconej odzieży, porażał rozpaloną głowę, paraliżował stawy. Kolana mi się ugięły, stąpałem jak pijany po progach torowiska, poganiany psami w zgiełku ujadania i nawoływania:

- *szag w pieriod, szag nazad, kamwoj prinimajet uruziem.*

To było więzienie w Izmie. Izma - to miejscowość nad rzeką Izmą, niedaleko Uchty w Komi ASSR.

Na betonowej posadzce leżeliśmy pokotem, jeden obok drugiego, a było nas czterdziestu. W oparach smrodu i wilgoci przemijał leniwie liczony czas. Na suficie dyndała ohydnie oblepiona brudem żarówka, dając nędzny blask na szare, pokryte pleśnią ściany. Karmiono nas tylko lurą z brukwi i do tego dwieście gramów chleba z zakalcem na dwa palce.

Łoskot zamka, drzwi otwiera strażnik i woła od progu:

- *na bukwu, takoj a to takoj, otczestwo, tak dawaj wychadi.*

Znalazłem się w słabo oświetlonej komnacie, przesiąkniętej stęchlizną, zmieszaną z papierosowym dymem machorki. Za dużym stołem, zarzuconym segregatorami i papierami, siedział pod talerzem wiszącej lampy starszy mężczyzna, nieco łysawy, w drucianych okularach. Kiedy wszedłem, spojrzął na mnie niedbale z nad okularów, które opadały mu stale na nos.

- *Nu, tyże obwiniony po staty 54, prawilno? Czy wiesz ty za co?* - zapytał wertując w pliku papierów.

Po kilku dniach znalazłem się w obozie "Kirpicznyj zawod - Uchta". Była to duża cegielnia na terenie zamkniętym, z kilkoma barakami dla *zakliuczonych*.

To co mi się tam wydarzyło było nieprawdopodobne, nieprzewidywalne nawet w najskrytszych myślach. Wśród stojących po zupełę rozpoznałem mego ojca. Stał przygarbiony z blaszanką w ręku, nie świadom, że go obserwuję z oddali. Tak bardzo bałem się jego nagłej reakcji. Miał wtedy pięćdziesiąt lat, siedział dłużej i nie wiedział zapewne, że ja też zostałem aresztowany. Jeśli mnie tu nagle zobaczy, może się całkowicie załamać.

Jak się okazało, *kirpicznyj zawod* był dla mnie tylko takim *peresylnym* punktem, bo za kilka dni zostałem wytransportowany na moje docelowe miejsce przeznaczenia, czyli do *Nieftieszachty nomer adin*. Zrozpaczony ojciec żegnał mnie z obolałym wyrazem oczu bez łez. Czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy na tym świecie?

Zaczął się dla mnie szereg znojących dni. Pracowałem w kopalni. Tylko zorza polarna zawieszona jak jaka draperia na północnym nieboskłonie, swym niesamowitym, drgającym blaskiem - przeważnie zielonkawym, czasami żółtym i różowym - rozjaśniała otulony płaszczem śniegu zimny teren kombinatu wydobywczego.

Jak długo to potrwa? Czy i kiedy - wołałem przytłumionym głosem w głuchą przestrzeń, otoczoną dokoła kirem, strojnym jak na ironię w przepiękne szatki boskiej natury. Tak więc trzeba tylko czekać i wierzyć i chociaż miałoby się nigdy nie doczekać tego, w co się wierzy.

Przemijały króciutkie dni i te potwornie długie noce. Śmiesznie wygląda cherlawy człowiek z opuchniętymi kolanami i kostkami, z opuchniętą twarzą i odmrożonym nosem, bo śmieszna jest ludzka nicość. I chyba Opatrzność czuwała nade mną, skoro pojawiło się jakieś wybawienie. Pewnego dnia spotkałem młodego człowieka, muzykanta z orkiestry kopalnianej. W toku rozmowy zapytał mnie nagle, czy potrafię grać na jakimś instrumencie. On sam gra na tenorowym sakshornie, ale poszukiwany jest *barabanszczyk*.

Zaraz potem zostałem przedstawiony szefowi od "kultury", którym był niejaki tow. Szwernik, łotewski Żyd, nawiasem mówiąc - bardzo kulturalny, porządny facet. Oczywiście zrobił mi egzamin z moich umiejętności wybijania na małym *barabanie* taktu jakiegoś fokstrota i o mało mu oczy nie wylazły z orbit, gdy mu zasunąłem synkopowany pasaż.

- *Wot maładiec, u tiebia zołotyje ruki, job two!*

I tak zostałem członkiem zespołu trębaczy.

Wśród plejady ludzi zajmujących się „kulturą” poznałem wiele ciekawych typów, wywodzących się z różnych środowisk, różnych narodowości, o różnych charakterach, temperamentach i mentalności. Wysoką oceną cieszyli się przede wszystkim Koreańczycy, jako zdyscyplinowani, sumienni, pracowici i kulturalni, zawsze wysuwani na odpowiedzialne stanowiska w różnych specjalnościach. Następnie Gruzini, którzy wyróżniali się wrodzoną kulturą i błyskotliwością, a przy tym posiadali jakieś maniery elegancji na co dzień. Lubiałem z nimi poważnie porozmawiać, w przeciwieństwie do rodowitych Rusków, którzy przeważnie grzeszyli chamstwem, ordynarnym słownictwem i w ogóle brakiem jakiegokolwiek wychowania i kultury osobistej. Oczywiście byli też między nimi ludzie wykształceni i z jakąś nabytą cechą umiejętności zachowania się w pewnych sytuacjach, ale na ogół większość - to prymitywne naśladownictwo sowieckiego heroizmu i pospolitego grubiaństwa, okraszzonego

zdumiewającą naiwnością. Przestępcy kryminalni pomieszani z więźniami politycznymi, zawodowi żulicy z chuliganami, bandyci, utracjusze, aferzyści i donosiciele, szpicle i tajniacy, politycy i urzędnicy aparatu partyjnego, wszyscy na kupie bez segregacji, a między nimi zawodowi artyści i działacze kultury. Oto barwna mozaika obozowej społeczności w krainie, gdzie tak wolno *dyszet czołowiek*.

Kończyła się potwornie długa i przykra pora zimowa, pora szarych nocy i króciutkich błysków słońca nad horyzontem i mimo iż zbliżał się radosny dzień Pierwszego Maja, śniegu było jeszcze wszędzie pełno. Tak pełno, że idąc z orkiestrą w pochodzie, brnęliśmy prawie po pas w zaspach i muldach. Drewniana architektura uchcińskiego posiołka, upstrzona czerwienią i portretami wodzów narodów, żałośnie dominowała nad kołyszącym się, zmarzniętym tłumkiem kadrowej arystokracji tego naiwnego, ogłupionego propagandą bolszewicką pospólstwa wszelakich narodów.

Graliśmy "marsza Słowiańskiego", tego jedyne marsza, który był mi znany jeszcze z okresu mego dzieciństwa, albowiem grali go często moi Ułani Szóstego Pułku w Stanisławowie. Wieczorem miałem występ w orkiestrze tanecznej w Domu Kultury w Uchcie, na akademii "ku czci", a potem, oczywiście - potańcówka dla tamtejszego *naczalstwa*.

Następnego dnia miałem zwolnienie w cechu, ponieważ po południu miałem grać na mityngu górniczym z okazji wykonania planu wydobywania. "*Dadim naszej stronie bolsze niefti*" - to hasło na wielkim transparencie wywieszono przy gromkim aplauzie zniewolonych *szachtiorów*.

Dużym naszym utrapieniem w barakach były pluskwy. Te najdrobniejsze, jak główki od szpilek, blade-żółte, łączyły wszędzie po ścianach, po podłogach, po całym cieple, gnieździły się w zakamarkach prycz, w butach, w czapkach i gryzły niemiłosiernie. Nie było na nie rady. Miało się wrażenie, że cały ten wielki Związek Radziecki jest niesamowicie zapluskwiony, że jest ojczyzną tego paskudztwa.

Nagle przyszło lato. Tak jakoś nagle, bez wiosennego przebudzenia przyrody, jak to bywało u nas, bo i słońce poczęło obiegać widnokrąg dookoła, skrywając na pół godziny swoją czerwienią tarczę jakby wstydliwie, na zarty, przed naszymi oczami. Zgasła gdzieś gwiazda północy, która tkwiła dotąd prawie w zenicie, a te migotliwe zorze utraciły swą wyrazistość barw. Jeśli noce były upiornie przedługie i nieludzko mroźne, tak dni polarnego lata stały się męczące dla oczu, które łzawiły od stale trwającego blasku.

Spotkałem Wiktora, który wracał po nocnej szychcie, cały oblepiony brunatną mazią błota zmieszanego z ropą. Pracował wtedy jeszcze na dole przy ropodajnych *skwarzenach*. Wiktor Hałat, nasz sąsiad ze Stanisławowa, były właściciel zakładu masarskiego, dostał *srok* pięć lat łagru. Za co? Nie był przecież ani członkiem organizacji politycznej, ani działaczem społecznym, ani funkcjonariuszem państwowym. Był tylko rzemieślnikiem, robił dobre wędliny. Był rubaszny, wesoły, a kiedy sobie podpił, śpiewał ulubioną piosenkę: "Zwycięży Orzeł Biały, zwycięży Piastów ród..." i chyba za to dostał wyrok.

Kończy się zbyt krótka pora letnia. Żłocisto-rudy koloryt karłowatej brzozy wśród rudziejących traw, a w tle ciemna, prawie czarna masa borealnej tajgi wśród licznych, płaskich skupisk torfowiskowej roślinności, ciągnie się na szerokich przestrzeniach bez końca. Nie wyobrażam sobie, by można było stąd uciec. Jaki ten świat wielki i dziwny, jaki surowy i piękny jednocześnie. Ale to piękno optycznie odbierane, raniło moją duszę, nękało moją wrażliwość, tak uczuloną na bezmiar zjawisk natury w tej surowej krainie.

O Boże - pomyślałem sobie - gdybym był teraz wolnym człowiekiem, chwyciłbym plecak jak za dawnych lat i poszedłbym sobie tam, prosto przez te torfowiska brunatne, przez tę rudą darń, hen, daleko, aż do tych ciemnych borów, nawąchać się *chwoi* i zachłysnąć urokiem tajgi. Ale co może zrobić człowiek na ograniczonej, ciasnej *zonie*, za podwójną siatką kolczastych drutów. Nic, tylko pomarzyć i zapłakać. Zbliża się znowu zima, wnet grudzień, potem Święta,

które przyjdzie mi chyba znowu przetrwać z dala od bliskich i w osamotnieniu, tylko z własnymi myślami.

Tymczasem na zajęciach muzycznych tłukliśmy pamięciowe opanowanie *starinnych russkich* walców, do których należały między innymi "Walc oficerski" oraz "Na sopkach Mandzurii", który stał się naszym żelaznym numerem repertuaru.

W przerwach brano mnie na spytki i często musiałem opowiadać o życiu i obyczajach przed wojną, w kraju za "kordonem". Z niedowierzaniem przyjmowali do wiadomości pewne moje oczywiste stwierdzenia o swobodnym, nieskrępowanym życiu ludzi różnych stanów, różnych wierzeń, różnych narodowości. Ich niedowiarstwo było nacechowane naiwnością i kompletnym brakiem jakiegokolwiek wiedzy o życiu społeczeństw na świecie. To, co im wpajano o nas, było tak niedorzeczne i tak przekłamane, że z wielką przyjemnością wyprowadzałem ich z tego stanu chorobliwej głupoty i zaślepienia w ciasnocie ograniczonego terenu z nakazu władz. Mówiłem im tak:

- Patrzcie na mnie, ja mam dopiero dwadzieścia trzy lata, ale byłem już wszędzie tam, gdzie zachciało mi się być, bez żadnej *putiowki*, bez żadnego skierowania, bez zezwolenia władzy. Tylko z biletem kolejowym mogłem objechać całą Europę, a czy kto z was mógł tu, w tym waszym wolnym kraju dokonać tego?

- *Eto brechnia, eto zwuczyt nie uwierienno!*

Ale w końcu, choć nieśmiało, dawali się przekonać, kiedy im oświadczyłem, że przecież ja nie jestem żadnym agitatorom, tylko odpowiadam na zadawane pytania, a oni mogą ale nie muszą w to wierzyć. To nie mój interes.

To było dokładnie czwartego grudnia. Leżałem na swojej koi, kiedy zjawił się posłaniec z *prykazem*, że mam się zgłosić do biura *nariadczyków*. Z bijącym sercem pobiegłem do mego opiekuna *nariadczyka*, podałem swoje dane osobowe i miejsce mego aresztowania. Oświadczone mi, że moja sprawa została umorzona i mogę wracać do Stanisławowa. W ciągu dwóch tygodni muszę załatwić wszystkie formalności z kartą obiegową, odprawą rewizyjną, biletem kolejowym i prowiantem na drogę.

Dziesięć śledzi i siedem kilo chleba na drogę do Stanisławowa przez Moskwę, to chyba zbyt mało, jak na taką drogę, gdy się jedzie z przesiadkami i do tego w zimie.

Podróż była uciążliwa, bo pociągi kursowały do Moskwy co drugi dzień, a ja czekałem na moją kolej cztery dni. Do tej Moskwy jakoś się dotelepałem na głodno, ponieważ cały prowiant zjadłem jeszcze przed Kotłasem. W Gorkach zlitował się nade mną jakiś starszy mężczyzna o kuli.

- *Ty od kuda* - zagadnął.

- Z Uchty, zwolniony - powiadam. - Głodny jestem, od kilku dni nic nie jadłem.

- Właśnie widzę, bo nie wyglądasz na sytego. Masz, dam ci resztę mego chleba. Bierz, bo ja zaraz wysiadam. Widzisz, ja straciłem nogę już w pierwszych dniach wojny ojczyźnianej za *rodimu*, za Stalina i tyle mam uznania. *Ot, takaja żyźń nasza, sobacza.*

NIBY DO OJCZYZNY (1947)

Rankiem 18 grudnia 1946 roku dojechałem do Moskwy. Pociąg wtoczył się leniwie na peron Kurskiego dworca. Mglisto i ponuro, pełno topniejącego śniegu z błotem i bajorkami, po których brodzi tłumek odziany nędznie w łachmaniarskie uniformy różnej maści i przedziwnych fasonów. Szeroka *plaszczad* przed dworcem zrobiła na mnie niezbyt miłe wrażenie. To tak wygląda stolica tego Imperium Sowieckiego?

Daleko na krańcach placu kilka typowych kiosków, wokół których kręcą się jakieś podejrzone typy.

- *Sachar, sachar, nu komu, odin rub, komu . . .?*

Kostka cukru, to znaczy za rubla, nieźle, jak na taki czas!

W jednym kiosku z informacją dostałem adres do Ambasady Polskiej. Okazały budynek przy ulicy Aleksieja Tołstoja trochę mnie onieśmielił i trochę wzruszył. Przy narożniku stał mundurowy policjant, chyba oficer, bo z pagonami i zapytany, wskazał mi uprzejmym gestem wejście do szerokiej bramy wjazdowej na dziedziniec kwadratowego kształtu. Stało tam kilka łazików terenowych, limuzyna granatowa, furgonetka załadowana cytrusami, no i pełno uwijających się ludzi w mundurach i w cywilu. Gwar i nawoływania; wszędzie słyszę polską, dźwięczną mowę, polskie napisy, a tam, nad jednym wejściem duży napis "WEJŚCIE DLA STRON". To chyba dla mnie - pomyślałem - i wszedłem jak do Polski.

Jakiś porucznik o szelmowskim wyglądzie, podobny do samego księcia Pepi, z takim czarnym wąsikiem, w oficerkach, z dyndającą na rapciach szabelką ze srebrnym temblakiem, wskazał mi drogę do urzędującego Pełnomocnika d/s Repatriacji. Bezceremonialnie otworzył drzwi i wepchnął mnie do dużego pomieszczenia.

- Panno Basiu, przyprowadziłem pani gościa z Komi!

Za biurkiem siedziała w białym sweterku szczupła szatynka, sekretarka szefa Polskiej Misji Repatriacyjnej. Podałem jej mój dokument z Uchty. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem w oczach. Rzuciła kilka rutynowych pytań, uważnie czytając ruski tekst mego dokumentu. Przez uchylone drzwi jakaś dziewczyna krzyknęła:

- Panno Basiu, proszę przyjść; na dole rozdzielają pomarańcze!

- Tak, tak, już lecę, tylko załatwię tego młodego człowieka. - To mówiąc, chwyciła dokument i na chwilę znikła za drzwiami gabinetu majora Dzierżowskiego.

Major zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie, z ojcowską troską w głosie wypytywał o wszystko, o rodzinę, o zdrowie.

- A niech mi pan powie - zwrócił się do mnie per "pan" - czy dużo tam jeszcze naszych ludzi?

Po kilku dniach wyjechałem z dworca Białoruskiego, który był również moją noclegownią, do Baranowicz. Tam miałem się zgłosić z pismem od mego majora do pani Wróblewskiej w placówce PUR-u. Kiedy dotarłem do Baranowicz, okazało się, że ta placówka jest zamknięta na cztery spusty. Wszyscy wyjechali na Święta do Polski. Zostałem sam bez dachu nad głową, w obcej mi, zapadłej, małej mieścinie. Zrezygnowany, postanowiłem udać się do Grodna. Tam, w RAJKOM-ie poradzili mi najlepiej: Obóz 312 we wsi Kielbasino dla ruskich repatriantów!

Kielbasino leży w odległości kilku kilometrów od Grodna w stronę granicy polskiej. Tam też się natychmiast udałem. Naczelnik obozu, płk. Wasiew odebrał mi mój jedyny dokument z Uchty i nakazał cierpliwie czekać na zbiorowy przerzut na polską stronę. Czekałem do siódmego stycznia. Ale zanim jeszcze dotarłem do tego obozu, musiałem przebyć kwarantannę świąteczną w Grodnie. Akurat tak trafiłem, że do Grodna zajechałem późnym wieczorem 24 grudnia.

Dworzec kolejowy o prowincjonalnym wyglądzie, ciemny, brudny, jak na jakim odludziu, ziejący wyziewami z latryn, z domieszką podlej tabaki i gnijącej kapusty. Wszystko to razem nie niosło w sobie nic z nastroju, jaki człowiek powinien odczuwać w ten wigilijny wieczór.

Szedłem skulony z zimna ku miastu, przez wąskie, ciemne uliczki, zaglądając po drodze w okna domów, w których migotały - jakby wstydliwie - wątłe światelka. Pewnie tam siedzą przy skromnej wieczerzy nieliczne już rodziny polskie. Wszędzie czuć było wielką biedę.

Grodno - nie duże, ale historycznie polskie miasteczko, pełne zabytkowych budowli, zamków, kościołów, klasztorów, z najpiękniejszą z polskich kresowych rzek, Niemnem, wydawało mi się tak smutne, zniszczone, zatracone. To kiedyś królewskie miasto, gdzie ono się podziało?

Wróciłem czym prędzej na dworzec, usiadłem w kącie na niskim gzymsie, zwinąłem się jak pies i usnąłem.

Obudził mnie tumult dochodzący od westybulu. Było zupełnie jasno. Przetarłem oczy i szybko skierowałem kroki w stronę centrum miasta. Wiał mroźny podmuch orzeźwiającego powietrza. Nie potrafię powiedzieć, jaki to był kościół. Pod portalem wejściowym stało kilka starych kobiet. Stałem między nimi i zagadnąłem. Jedna z nich pociągnęła mnie za ramię ku kruchcie.

- Niech pan tu poczeka, ja zaraz coś wymyślę i wrócę - powiedziała i znikła w bocznej nawie.

Tymczasem rozmawiałem półgłosem z kobietami, które obiecały mi załatwić jakieś noclegi u znajomego gospodarza, Polaka. Msza kończyła się, kiedy powróciła moja nieznajoma protektorka i kazała mi udać się z nią do pobliskiego klasztoru. Dreptała ta kobiecina pochylona i jakby z konspiracyjnym doświadczeniem coraz to przystawała i obracała się sprawdzając, czy idę za nią w odpowiednio przyzwoitej odległości, a ja szedłem pokornie za jej śladem. Tak dotarliśmy do wysokiego muru, który otaczał kamienny dziedziniec. W drewnianej, wysokiej furcie wystawał z otworu gruby sznur, zakończony tulejką. Pociągnęła trzy razy tulejką, bo to był pewno jakiś umówiony sygnał i po chwili otworzyła nam furtkę zakonnica.

- Niech będzie pochwalony . . .

Wpuściła mnie do małej salki, w której stał tylko duży, dębowy stół i dwie długie ławki i nic więcej. Coś tam obie długo szeptały, po czym ta zakonnica kazała mi poczekać. Czekałem dość długo.

To była dla mnie świąteczna uczta! Taca, a na niej półmisek z wianuszkami swojskiej kielbasy, plastry salcesonu, pasztetówka, sterta chleba i kubek gorącej herbaty. Zmiotłem to wszystko błyskawicznie, bo przecież od kilku dni prawie nic nie jadłem. Tak mi przeleciał pierwszy dzień Świąt. Potem jakaś inna kobieta przysłała po mnie i zaprowadziła do wiejskiej chaty, która miała być moją kwaterą na okres Świąt.

Wąsaty, starszy gospodarz, otwarty i dobroduszny człowiek, Polak, powitał mnie gościnnie, poczęstował talerzem studeńca i nakazał młodej dziewczce - chyba to była jego córka - by przyniosła słomę na legowisko. Jego kobiety były zapewne Rusinkami prawosławnymi, bo mówiły tylko ni to po rosyjsku, ni to po białorusku. Żona gospodarza, trochę nadąsana coś tam marudziła, ale stary od razu osztorcował ją z uśmiechem na ustach. Cały snop słomy przytargała młoda, krzepka dziewczyna. W jednej, pustej izbie, zrobiła mi postanie, nakrywając rozłożoną słomę kilkoma weretami.

- *O, tutka wam bude choroszo, pane* - zapewniała, wypinając przesadnie swój zad w moją stronę. Była bardzo mnie ciekawa. Swoją chłopską inteligencją wyczuwała niewątpliwie we mnie jakąś, być może personę niezwykłą, bo też musiałem wyglądać dość osobliwie w tym angielskim mundurze lotnictwa. Do tego mówiłem nie tylko czystą, „pańską” polszczyznę, ale i dość biegle po rusku. To jej imponowało, przyglądała mi się z nabożeństwem i z chęcią, gotowa do usług. Oczywiście nie w głowie mi były zaloty tej chłopki, która cały czas mi nadskakiwała, potrząsając okazjonalnie swym obfitym przodkiem.

Przenocowałem tam trzykrotnie. Ostatniego dnia naradzaliśmy się wszyscy, co zrobić. Wreszcie ustalono, że najlepiej będzie, jeśli się udam do RAJKOM-u. Tam na pewno dostanę skierowanie na *peresylny* punkt.

Sobota, 28 grudnia rano. Po śniadaniu, moja nadzwyczajna i usłużna opiekunka, z własnej i nie przymuszonej woli zaofiarowała mi swoją pomoc i żebym nie pobłądził, postanowiła poprowadzić mnie do budynku RAJKOM-u. To wprost nieprawdopodobne, jak ta hoża dziwa zabiegała o moje względy, jak nieśmiało nakłaniała do pozostania u nich, a w ogóle, co też sobie wyobrażała, że jestem jakimś wyśnionym dla niej księciem z bajki, czy co? A tak z ręką

na sercu przyznam bezwstydnie, targało mną poczucie pewnej bezsilności sumienia, że za to całe serdeczne przyjęcie mnie, obcego przecież, bezdomnego chłopca z powierzchownością urodzonego paniczyka, nie mam czym się zrewanżować. Było mi trochę nieprzyzwoicie głupio tak bezceremonialnie opuszczać ten przyjazny dom, tego szczerego polskiego chłopca, dobrodusznego i pogodnego, no i tę jego córkę, niebezpiecznie, poządliwie zaślepioną. To moje miękkie z przyrodzenia serce przeszkadzało mi niejednokrotnie zebrać się do kupy, by trzeźwo, bez zbędnych zmagania z sumieniem, realistycznie oceniać sytuację.

Przytulna ziemianka, do której wchodziło się drabinką przez kwadratowy otwór była tak ciemna, że dopiero po pewnej chwili dostrzegłem palącą się świeczkę i leżącego na pryczy młodego człowieka w wojskowym, ruskim mundurze z medalami na kolorowych baretkach. Ponieważ był pierwszym na tej kwaterze kandydatem do przerzutu, automatycznie pełnił obowiązki szefa i gospodarza zgrupowania. Ja byłem drugi, następni doszlusowali po kilku dniach. Wreszcie komplet składający się z dziesięciu Polaków gotów był do rychłego przerzutu na polską stronę. Stołowaliśmy się w messie dla ruskich oficerów, usługiwały nam jakieś ruskie dziewczyny, *oficjantki*, jak je nazywano. Były dla nas bardzo grzeczne i uprzejme, uśmiechały się zalotnie, kręcąc biodrami dla pogłębienia efektu kultury usług. Niektórzy byli nawet skłonni do ewentualnego skorzystania z tych „kulturalnych” usług; innym wystarczały wrażenia wizualne. Mnie również.

Jedynym moim wiarygodnym dokumentem była t.zw. „*Sprawka*”, w której podane były moje dane osobowe i adnotacja, by polskie organa administracji umożliwiły mi osiągnięcie docelowego miasta, podanego na tym dokumencie. Pieczętka i podpis: Płk Wasiew, Łagier 312. Żadnej wzmianki o tym, że byłem „*zykiem*” w Uchcie. Dokument był wypisany na maszynie, na małym skrawku brunatnego papieru, jakby wydartego z worka cementowego, z pieczętką okrągłą w kolorze fioletowym.

Przez granicę przerzucono nas dosłownie jak przemytników, bez żadnej ewidencji i kontroli ze strony polskiej. Z Sokółki do Białegostoku jakimś lokalnym pociągiem, potem późnym wieczorem wyjechaliśmy wszyscy, oczywiście na gapę, do Warszawy.

Warszawa, 10 stycznia 1947 roku, Dworzec Wileński. Jestem podniecony, bo to jest właśnie Polska, tak proszę wszystkich - Polska, chociaż nie wiem jeszcze jaka Ona, ale Polska!

Pada gęsty, mokry śnieg, ulica Targowa jakby zgotowana, cała w ruchu i zgiełku. Wszyscy w biegu, aktywność ogromna, wielkie tempo, pośpiech. Stoją budy, ryczą motory.

„3 X TAK” - co to znaczy ten napis na murach - jeden drugi, trzeci? Nie wiem, nie rozumiem, nie pojmuję. Jakies szczeniaki uganiają ulicami z plikiem kartek z numerkami, jeden wsunął mi taką karteczkę z dużą czwórką. Co to znaczy, też nie wiem.

Wisła szeroka jak dawniej, tylko ten horyzont taki rozmazany, daleki . . . Znam przecież Warszawę od dawna, przejdę pieszo przez ponton. Most zburzony, a po tej stronie domy stoją, jak stały, no to co!

Idę, idę, wiatr w oczy wieje, mokry śnieg oblepia mi rzęsy, nic prawie nie widzę, gdzie to ja jestem, do cholery? Tu powinien być Zamek, no, chyba coś mi się pomyliło. Idę dalej. Dokąd? - myślę rozpaczliwie. Chyba do nikąd, nic nie rozpoznaję. Obumarłe kikuty drzew, sterczące szkielety wypalonych ścian, rumowiska jak górskie łańcuchy po obu stronach niby ulic, których nie poznaję. Przystanąłem na środku ruchliwej w zgiełku pustyni, rozglądam się uważnie, bo tam, po prawej pochylona bryła jak monolit po trzęsieniu - ostał się wrak Dworca Głównego, a na przeciw poznaję cały, nie naruszony hotel „Polonia”.

O Boże, czy to jest ta Warszawa, w takiej totalnej ruinie?

A więc jestem na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Po wieżach zegarowych ani śladu, a tu był kiedyś hotel Wiedeński, tam kino „Stylowy”, a teraz sterta gruzu. Dalej słynna ulica Chmielna i jak dawniej, corso prostytutek. Liczę ulice - tu Złota, dalej Sienkiewicza. I tak dotarłem do Świętokrzyskiej i Ogrodu Saskiego. Coś skręciło mi się w

kiszkach, rozglądam się, gdzie by tu wdepnąć, no chyba tam, za wysoką hałdą gruzu. Czuję się lepiej, tak mi ulżyło - i dopiero teraz zorientowałem się, że moją pierwszą wizytę złożyłem w ruinach pałacu Kronenberga. Dziś na tym miejscu stoi ekskluzywny „Hotel Victoria”. Idąc dalej ulicą Królewską, w ocalałym budynku „bez kantów”, mieściło się Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza. Pełen determinacji wstąpiłem do lokalu TPŻ. W pokoju, przy biurkach, siedziały dwie wyondulowane, pulchne matrony.

- Słucham, w jakiej sprawie - zapytała puciołowata blondynka.

Podąłem jej moją „Sprawkę” i powiedziałem, że jestem zdemobilizowanym żołnierzem z armii ruskiej z Dalekiego Wschodu, wróciłem do Kraju, bo jestem Polakiem, pochodzę z Kresów i byłem ostatnie lata obywatelem ZSRR.

- Czy macie jakiś dokument wojskowy, jakąś książeczkę lub zaświadczenie o zdemobilizowaniu?

- Nie, nic więcej. Wszystkie papiery, jakie miałem przy sobie, odebrano mi w tym obozie 312. Gdy się upomniałem, powiedziano mi, że tam w Polsce nie będzie to mi potrzebne - powiedziałem z przekonującym tonem rozgoryczenia.

- No, co też oni wyprawiają, jak tak można - rzekła blondyna, po czym wstała i wyszła z moją „Sprawką” do sąsiedniego pokoju. Po kilku minutach wróciła z jakimś starszym panem w cywilu, który rozpoczął indagację, jakby to było przesłuchanie, a ja kłamałem pewnie i bezczelnie i - jak się okazało - skutecznie.

Wyszedłem stamtąd z otrzymanym skierowaniem na ulicę Koszykową, do Dyrekcji Polskiego Radia, z prośbą o zatrudnienie.

Popędziłem pełen wiary i nadziei w stronę Krakowskiego Przedmieścia, bo chciałem koniecznie zobaczyć, jak też wygląda Zamek. I co zobaczyłem? Kawalek ocalałego narożnika od południowej strony, fragment elewacji od strony Wisły i tylko ruiny. Wracając do Dziekanki, zobaczyłem napis „CARITAS”. Tu zostałem tymczasowo zameldowany, tu otrzymałem schronienie. Rano pobudka, przychodzi siostra w habicie, klaszcze w dłonie i woła:

- Chłopcy, modlitwa!

Potem jeszcze musieliśmy śpiewać kolędy, a potem dopiero dwie młode dziewczyny w białych fartuszkach i czepkach roznosiły między stoły w emaliowanych miskach gorącą, mleczną zupę i kromki chleba.

Kiedy siostra wyszła, a wszyscy już opróżnili swoje miski, podchodziłem do młodej dziewczyny, która zbierała naczynia i trzymając mocno w dłoni swoją miskę, zapytałem nieśmiało:

- Proszę pani, czy zostało coś jeszcze?

- Czy pan jeszcze chciałby repetę? Skinałem głową, a ona oglądnęła się za siebie i nałała mi dwie chochle.

- Ma pan jeszcze trochę chleba, ale tak, żeby przełożona..., no wie pan, niech pan to schowa.

Podziękowałem i posłałem jej „buziaka”, a ona się słodko uśmiechnęła i trochę zmieszana znikła w korytarzu. Milutka ta dziewczyna tak pozostała moją opiekunką przez okres mego pobytu.

Polecono mi udać się do Czerwonego Krzyża na Piusa, w sprawie poszukiwania rodziny. Ta dzielnica, od Starego Miasta przez Krakowskie do Nowego Światu była cicha, wyludniona, tylko ruiny i klepsydry na okopconych murach. Dopiero od skrzyżowania z Alejami zaczynał się istny moloch nie ustającego ryku i falującej ciszy. Jak ludzie żyją w tych ruinach!

W „PUR-ze” wystawiono mi wreszcie polski dokument, który odtąd był moim jedynym dowodem tożsamości, z datą 15 stycznia 1947 roku. Błądziłem po zrujnowanej Warszawie i szukałem tych miejsc, w których odnalazłbym ślady przeszłości, chociażby symboliczny własny

odcisk mej stopy na startych trotuarach, po których przed laty stąpałem. Warszawa, jaką znałem, nie była miastem pięknym, ale jako stolica miała w sobie coś, co dla mnie - młodego chłopca z dalekich Kresów - posiadało znaczenie symbolu trwałości i nie przemijającego dziedzictwa Polskiego Narodu, umęczonego tragizmem dziejów. Błądziłem zagubiony w pustyni rumowisk i nie mogłem otrząsnąć się z przykrego wrażenia, spoglądając ze środka Placu Napoleona na wypalony szkielet „Prudentialu”, na rozsypany gmach Poczty Głównej. Podążając dalej ulicą Sienkiewicza, mijam z oddali, jakby cudem ocalały dom „Pod Orłami” przy Jasnej. Gdzie „Filharmonia”, gdzie „Morskie Oko”, gdzie ten charakterystyczny budynek z księgarnią Gebethnera i Wolffa, któżby to pominął? Idę dalej, z ulicy Zielnej wyrasta osmolona bryła „Pasty” czyli „Cedergren”, a na horyzoncie już nic, tylko kikuty czarnych murów o pustych oczodołach, to makabryczna panorama Polskiego Babilonu.

Ulica Stalowa niedaleko Dworca Wileńskiego przypomniała mi się tak nagle, że postanowiłem natychmiast udać się na Pragę. Ciekawy byłem, czy mieszkali tam jeszcze państwo Męcińscy. Przecież ze Zdlichem utrzymywałem przez wiele lat koleżeński kontakt, chodziliśmy razem do jednej klasy jeszcze w Stanisławowie, zanim jego rodzice przenieśli się do Warszawy. Wędrowałem od kamienicy do kamienicy, szukając na spisach mieszkańców znajomego nazwiska, aż wreszcie znalazłem. Zdlich poznał mnie od razu, wszak nie tak dawno jeszcze, bo latem w trzydziestym dziewiątym spotkaliśmy się nad Prutem. Zasypano mnie gradem pytań. Opowiadałem im o swoich przeżyciach, gdy wtem pani Męcińska podaje mi jakiś list pisany odręcznie, na którym rozpoznaję pismo mojej matki.

- O Boże, skąd to pani ma? - zapytałem zdumiony.

- Jak to, z Zabrze, od twojej mamy, bo ona tam teraz mieszka!

- A gdzie to jest, to Zabrze, nie słyszałem o takim mieście.

- Nie słyszałeś, to pewne, bo to dawniejszy Hindenburg, tuż za dawną granicą. - Tłumaczyła pani Męcińska. - Byłam tam jesienią i spotkałam twoją mamę przypadkowo na ulicy. Masz tu adres: ulica Wolności 149.

W czwartek, 23 stycznia wyjechałem z dworca przy ulicy Towarowej do Katowic. Następnego dnia, późnym popołudniem zapukałem do drzwi mieszkania, które potem przez wiele lat było moim nowym domem. To był niesamowity wieczór. Drzwi otworzyła starsza siostra mojej mamy. W ciemnym korytarzu nie poznała mnie, tym bardziej, że miałem mocno nasuniętą czapę na czoło. Powiedziałem, że mam list z Rosji.

- O proszę, proszę, niech pan wejdzie. Marylka, Marylka, tu jakiś pan ma list z Rosji. O Boże, zaraz... Proszę do środka, bo tu tak ciemno.

Moja mama zerwała się z krzesła, gdy wszedłem do kuchni. Stałem na środku izby i zdjąłem baranią czapę.

- Witajcie, niech będzie pochwalony . . .

Teraz dopiero obie mnie poznały. Nieprawdopodobna ekstaza, krzyk radości i łzy. Nie mogłem się uwolnić od uścisków, obracały mną na wsze strony. To istny cud! Opowiadaniom nie było końca.

Minęło kilka miesięcy, kiedy pewnego dnia otrzymujemy list ze Stanisławowa od mojej bardzo dawnej, starej niani, Teodozji, którą pamiętam jako Donię. Mieszka teraz w naszym dawnym domu przy ulicy Legionów. Otóż donosiła nam, że zaopiekowała się moim ojcem, który został zwolniony z łagru i więzienia i obecnie przebywa u niej. Wykorzystując moje doświadczenie z pobytu w Ambasadzie Polskiej w Moskwie, napisałem o wszystkim do majora Dzierżgowskiego z prośbą o umożliwienie „repatriacji” mojemu ojcu. Z końcem września ojciec już był z nami. Zaczęło się nowe życie rodzinne, jakby od początku.

Dużo pracowałem nad sobą, uzupełniałem braki w swoim wykształceniu. Uczyłem się metodą samouctwa, pogłębiałem wiedzę zawodową, a jednocześnie poszukiwałem partnerki do życia, bo czas uciekał, a z nim życie.

Początek lat pięćdziesiątych, to początek ugruntowania demokracji socjalistycznej, która miała być formą t.zw. dyktatury proletariatu, ale stała się natychmiast dyktaturą w pełnym znaczeniu tego słowa, lecz bez proletariatu. Proletariat był tylko zasłonką pozorowanej demokracji, w rzeczywistości był oryginalną formą dyktatury twardej, nie przebijającej w środkach stosowania represji. Był to okres t.zw. radosnej twórczości i szczyt uszlachetnionego socrealizmu. Jednocześnie szalał bierutowski terror. Jadem gadzinówki, którą była „Fala 49” zatruwano drętwiące jądro tożsamości narodu polskiego. Stefan Martyka i Wanda Odolska - owi bohaterowie szczytnej nagonki - „godnie” zapisali się w historii „intelektualnych” zmagañ z „desantem zachodnich, politycznych bankrutów”. Oslawiona stonka, zrzucana z amerykańskich balonów na polskie „pegieery” i „kolchozy” spowodowała niebywałą mobilizację w szeregach „młodzieży socjalistycznej”, która oddawała swe serca i młodość socjalistycznej ojczyźnie! „No to razem, młodzi przyjaciele, opaszmy ziemskie kolisko, nie dajmy się imperialistycznym zapędom, niech żyje socjalizm” - nawoływano wszędzie, na ulicach, w zakładach na masówkach, w radiu i gazetach, do obłędu, do znużenia.

Do jakiego to ja kraju przyjechałem w styczniu 1947 roku, w którym od kilku już lat - jak zauważyłem - unosi się w powietrzu zaczajony absurd polskiego komunizmu, w którym dyktatura zaplątała się w taki znajomy nam, familiarny bałagan? Czy to jest ta moja autentyczna Ojczyzna, czy jakiś „ersatz” niby Ojczyzny! Czy ja powróciłem do Polski, której chciałem, czy do Polski, która mnie nie bardzo chciała? To pytanie zadaję sobie dziś po tylu latach!

KONIEC

© ARCHIWUM WSKRUCHÓW